Sterling Abbadonah
Krajewski J. Ból

Abbadonah

Poemat w 4-ch pieśniach.

KAZIMIERZ STERLING.

JÓZEF KRAJEWSKI.

BÓL.

Tragedya w 4-ch aktach.

Część Pierwsza.

1897

DRUK P. LASKAUERA & W. BABICKIEGO.
WARSZAWA, Ś-TO KRZYZKA NO. 11.

Kazimierz Sterling.

ABBADONAH.

POEMAT w 4-ch PIEŚNIACH.

Józef Krajewski.

BÓL.

Tragedya w 4-ch aktach.

(Część pierwsza.)

WARSZAWA.
Drukarnia P. LASKAUERA & W. BABICKIEGO.
Ś-to Krzyzka Nr. 11.
1897.

Дозволено Цензурою. 5 Ноября 1896 г.

ABBADONAH.

Poemat w 4-ch pieśniach.

Pieśń pierwsza.

Ach, czy wy znacie tę noc księżycową
Jasną i ciepłą, jak światłość anioła,
Pełną miłości i pełną tęsknoty,
Kiedy się niebios rozepną namioty
I cisza niema, i senność dokoła,
I drga w przyrodzie wszechmiłości słowo?

Ach, czy wy znacie rozkoszną tę ciszę,
Co więzi ducha, rany serca koi
I na twarz bladą marzenia nawiewa...
Gdy wiatr całunkiem swoim muska drzewa
I śpiew roznosi, co śród niepokoi
Duszę nadzieją i wiarą kołysze?

Ach, czy wy znacie ten oddech przyrody
Pełny i wonny, jak miłość kobiety,
Jak śpiew słowika łagodny i rzewny,
Lekki i jako zefirek powiewny,
Smutny jakoby marzenia poety
I wiecznie świeży, i nazawsze młody?

I czy wy znacie uczucie to siły,
Co pierś zbolałą natchnieniem rozpiera,
Na nić wspomnienia przeszłe chwile niże
I rzuca w oczy cmentarniane krzyże,
A gdzie wzrok tęskny dokoła spoziera
Widzi żałobę, i płacz, i mogiły?...

Smutno jest płakać na bliskich swych grobie,
Smutno wspominać przeszłości swej chwile,
Smutno opiewać swą boleść przy lutni...
Lecz stokroć, stokroć sercu bywa smutniéj,
Gdy na dum własnych i szczęścia mogile
Pieśń pogrzebową śpiewa pieśniarz—sobie!

. . . .

Noc była piękna, cicha, księżycowa...
Rosa odziała perlistemi szaty
Zmęczoną ziemię i spragnione zioła
I, niosąc gwiazdy u swojego czoła,
Tajnie słuchała jak wskrzeszone kwiaty
Hymn zaśpiewały i miłości słowa.

Co słówko podsłucha, to rzuci zdrajczyni
Na skrzydła wiatru, co wiernie jej służy;
A wiatr je niesie nad błonia, nad rzekę,
Nad lasy, góry, nad strony dalekie,
Niesie—i niesie—A kiedy się znuży,
To piosnki odda rzeczułce-mistrzyni—

A ta je daje nieść prądowi fali,
Co coraz szerzej swe kręgi roztacza

I, cicho szemrząc te piosnki w głębinie,
Przerzuca smukłej ponadbrzeżnej trzcinie;
Więc trzcina smutno, żałośnie rozpacza
I rzuca skargi coraz dalej, daléj...

Aż ucho schwyci te rzeczułki pienia,
Te szumy lasów, ten hejnał natury
I żale ciche nadwodnej kamyszy...
I smutek wtedy w własnej duszy słyszy,
I w sercu tęsknie nucące te chóry—
Wcieli w pieśń pełną smutku i natchnienia...

. . . .

Siadłem na ławce pod kasztanu drzewem.
Księżyc mi blaskiem srebrzył ciemne włosy
I kładł się cichy i biały na pola...
— I nie wiedziałem dokąd jest ma wola,
Skąd płyną cieple te przyrody głosy
I, czy wiatr muska mnie swoim powiewem,

Czy też archanioł pod skrzydło swe czyste
Porwał proch ziemski—ukołysał w ciszę
I wessał w wszechbyt i w matkę naturę...
Ot, teraz w białą spłynąłem tę chmurę
I piosnki rzeczki i żal trzciny słyszę,
Szept drzew rozumiem... Cuda oczywiste!

Teraz zaklęła mnie wola anioła
W wierzchołek drzewa; więc gną się na strony
I liczę wnuki, i mnogie potomki;
Słyszę jak wróble i trznadle, i słomki

Nucą, wtórując swej matce spieszczonéj,
Co na swe dzieci «spać już, spać już» woła.

I ot zaklęła mnie w rzeczułki fale...
Więc uścisk czuję ponadbrzeżnej trzciny
I słucham, jak—smutna—żałośliwie płacze...
I mrze we mnie oddech, i serce kołacze,
I smutno mi, tęskno do mojej jedynéj,
I paść chciałbym do nóg, i w miłości szale

Pieśnią drzew uśpić i ptaków, i rzeki,
I nawiać ciszę tej nocy na oczy,
By łez jej serce i bólu nie znało...
I wnet się cofam przed myślą tą śmiałą:
I trwoga mnie szarpie i piersi mi tłoczy;
I marzę o niej, dalekiej—daleki!

. . . .

Łzy mi płynęły po wybladłej twarzy,
A w duszy byłem, by kryształy, czysty
I serce mi drżało do uciech, do łask...

Aż nagle olśniła mnie łuna i blask...
I stanął przedemną jak bóg płomienisty,
Myśl śród błyskawic mu w oczach się żarzy...

Za szatę mu były promienie księżyca,
Srebrem się mienił i moc odeń biła,
I czaru, i pychy, i dumy potęga;

Ogniem pałały mu usta i lica,
W całej postaci jego drżała siła,
Co depce, niszczy i do niebios sięga,

Co się nie kryje przed bóstwa obliczem,
Co się nia cofa przed krwią i przed wojną
I serca drgnienie zgłuszy w twardem łonie,

Dla której sławą i rozkosz jest niczem,
Co zawsze—wierną sobie i spokojną
Laurem zwycięstwa wieńczy harde skronie.

I stał nademną smukły i potężny,
A czarne skrzydła mi kładły zasłonę
Na oczy trwożne... i stałem wybladły...—

A on—szyderstwem na uściech orężny—
Rzekł, wzniósłszy na mnie spojrzenie natchnione:
«Jam Abbadonah!—jam anioł upadły!»

Więc stałem drżący, niemy i struchlały...
On mocą dziwną czaru mnie owionął
I wzrok wpił we mnie i palił płomieniem.

A słowa, jak race, z ust mu padały,
Mocą zapału i buntu głos zionął
I w uszy jasnym przedzierał promieniem.

I całą się duszą rwałem do jutrzni,
Co, niby gwiazda, świeciła mu z lica
I przyciągała mnie czaru urokiem...

On serce wskazał mi krwawe od włóczni,
Z oczu wytrysła gniewu błyskawica
I pieśń wytrysła gwałtownym potokiem...
. . . .
«Czy wiesz, kim jestem?—Praojcem Kaima,
Zbrodni i buntu, żądz i nienawiści,
Wolności, której tama nie zatrzyma,
Co wiecznie żąda i nigdy nie iści.

Praojcem jestem odwagi i siły,
Odwiecznej miłości bez granic i pęt,
Co nie zna czasu, przestrzeni, mogiły,
Co ślady swe wciska we wszechświata pęd.

Praojcem jestem walki i boleści;
Praojcem walki, ale nie zwycięstwa,
Bo w walce tylko odwaga się mieści.
Gdzie walki niema, tam niema i męstwa.

Zwycięstwo—to jedna odpoczynku chwila,
Więc senny w tej chwili odpoczywa duch,
I z ruchu, z wieczności się przez to uchyla,
Bo wieczność—to życie, a życie—to ruch!»...
. . . .
Zadrżały przestwory, gdy mówił te słowa;
Aż gwiazdy się trzęsły, mrugały w przestrachu,
A drzewa się z trwogą tuliły do siebie...

I myślą promienną pałała mi głowa,
I woń odurzała od słów tych zapachu,
I czułem, jak w duszy swoją przeszłość grzebię.

Więc—stałem w zwątpieniu i walce niemocny—
Nie wiedząc, gdzie cel mój i kędy ma droga;
Czy iść po kolei, czy tam, gdzie bezdroże?...

I wiatr mi do ucha wyszeptał coś nocny,
I trzcina szeptała jękliwie: «Do Boga!»
«Do Boga!» kłosami szeptało mi zboże...

Lecz siła nieznana mnie pchała, w ramiona
By paść demonowi i oddać mu życie
Na walkę, do buntu i wiecznego boju—

...On skrzydła roztoczył i znowu—natchniona
Mu mowa wytrysła i—gdyby pieśń w mycie
Z czystego płynęła kastalskiego zdroju.

. . . .

«Czy pójdziesz ty ze mną? — Ja do podwoi
cię doprowadzę prawdy.— Ja ci wrzeciądze
natchnień otworzę. — Ja ci wierzeje
tajni rozjaśnię;
Tam zaprowadzę, gdzie oko zajrzeć się boi,
Tam zaprowadzę, gdzie panują żądze,
Gdzie myśl i wiara w uczuciach dnieje
I gdzie się święcą ideały—baśnie...
Tam zaprowadzę, gdzie człowiek bez zmazy,
Gdzie bije siły i przyrody tętno,
A serce wolne odtwarza obrazy,
Gdzie myśl jest za tło, a za pędzel piękno...

W szarej pustyni robaczego życia
Ile się siły i prawdy zatraca,
Ile rozkładów i śmierci i gnicia
Słabość sumienia i serca opłaca;

Ile się niszczy odblasków i marzeń,
Ile mrze myśli, łez w piersi strzaskanéj,
Ile rozkoszy i szału i wrażeń
Zabiła cnota, trupi oddech z rany

Zgniłego świata. Tak, ja ci pokażę
Jak szczęścia szukać nie w cichem sumieniu,
Jak szczęściu złudne stawiają ołtarze
I jak go szukać należy—w cierpieniu.

Cierpienie—to siła i moc, i potęga,
Przez nie jest droga we wieczności wrota;
Cierpiący głową nad niebiosa sięga
I na ból w piersi zapomnienie miota.

Cierpienie—to rękawica rzucona w twarz bó-
[stwa,
To praca myśli nad otwartym grobem,
To złote nici, co kowają serca,
To zdarcie maski z kapłanów oszustwa,
To wzlot w obłoki nad pędzącym globem,
Orgja, co święci, wznosi i—uśmierca.

Lecz gdy masz cierpieć, cierpże, jak tytany,
Co w piersi ogień mają i natchnienie,
A w głowie myśli i pożadań roje;

Kochaj miłością nie piersi starganéj,
Lecz spleć w rozkosze użycia pragnienie:
Mary w powietrzu; co w ręku—to twoje.

Nie masz dla ciebie ni bliskich, ni brata,
Tyś jeden w świecie; znikczemniony lud
Innym niech słabe wyciąga ramiona,
Innych niech modli o radę i moc.

Walkę i myśl masz, a myśl ci za kata,
Słabość—to podłość, a podłość to brud...
Dla cię niech tryska pobudka natchniona,
Tobie rozjaśnić ciemności i noc.

Ja orle przypnę ci skrzydła,
Wzniosę nad ludzką niedolę,
Rzucę pod nogi ci świat.

Sprzątnę z przed oczu mamidła,
Nad innych wzniosę twą wolę—
Przed tobą będzie tłum bladł.

I do nóg ci padnie,
I błagać cię będzie,
Byś użył go snadnie
Za działań narzędzie.

Koronę ci złoży
Pokornie do stóp
I kark do obroży,
I uczuć swych snop.

I wielkim będziesz, i ciśniesz w obłoki
Przekleństwo za tymi, co mali,
I wzgardą tych oplwasz, potężny, wysoki,
Że patrzeć na słońce się bali.

I przegród nie będzie na śliskiej twej drodze,
Pochodnią, postępem tam będziesz, gdzie cię-
[mno,
Silniejszy—gdzie silni, pomocny,—gdzie w trwo-
[dze.
Odpowiedz! czy pójdziesz, czy pójdziesz ty ze
[mną?»

. . . .

I drżały mi nerwy, i serce mi biło,
I krew się paliła i kipiała, wrząca,
I głos mi grzmiał jego i dźwięczał, jak dzwony
A w piersi się chaos tych wrażeń zespolił...

I tak pierścieniem mnie czaru okolił...
Aż mózgu mi ciemnie myśl jedna roztrąca,
I krzyknę, jak w szale proroctwa i z siłą...—
— Tak! pójdę z tobą!!!...
...I padłem zemdlony.

. . . .

Koniec pieśni pierwszej.

Pieśń druga.

PSALMY PRZYSZŁOŚCI

Psalm pierwszy.

Przez ból i przez mękę krzyżową, przez łzy, przez pot krwawy i rany serca cichego szedłem do ciebie!

Sercem ci oddał, mózgu i woli mej siły...

Nie było dla mnie poświęceń, nie było ofiary, bo ty jedna jedyna mi byłaś!

Więc ciebiem porwał w ramiona, tobiem w sercu mem ołtarz postawił!

Więc ciebiem dla nich chciał rzucić, nikczemnych oświecić i słabych... Jak orzeł wzbić się wysoko? skrzydła szeroko roztoczyć, w strefy powietrzne szybować i nieść się z wami, wybrani!

Sercem wam rzucił i krwi polał strumień, ból mój płakałem i łzami wam stopy kąpałem.

I ręcem wyciągał z modlitwą błagalną, i prosił o miłość i spójnię. W sercu mem glorya wam była i wy królowaliście w mózgu.

Nie było boga mi nad was, nie było radości mi nad radość waszą, nie było bólu nad ból wasz.

A głowa mi pałała, a tysiąc marzeń złociło me myśli, a urok czaru siecią oplatał marzenia...

. . . .

I sztylet wbiliście mi w serce, aż krwią ociekało serdeczną...

Kurcz bólu twarz mi wykrzywił i jęk potępieńca z piersi się wyrwał...

— Jad zwątpień wleliście w duszę, opletli mnie w łańcuch szyderstwa.—Harmonii akordy wam grałem na strunach serca mojego...

Wyście te struny zszarpali, wyście akordy zgłuszyli. — Jam gołębicą był śnieżnopiórą; śnieg mego puchu krew zalała koralem...

Więc zamgliły się oczy, tuman pokrył mą duszę i bladłem, chwiejny i słaby.

Bo zszarpaliście serce, co niosłem w ofierze, i krwawe mi płaty rzucili pod nogi, bo w twarz mi jadem i żółciąście pluli, bo w pierś mi swe szpony wcisnęli. I krwią ociekałem, i bólem płakałem, a wyście szyderstwem płacili...

Jak morze bezbrzeżne, jak pustyń obszary bezbarwne — było uczucie wściekłości...

. . . .

Aż szaty porwałem na sobie, z błyskawic gniew swój uplotłem i ogniem pałały me słowa...

Burza szalała wokoło—i z hukiem gięły się lasy—wody pod niebo się niosły—i trwożna trzęsła się ziemia...

A wszelkie stworzenie pobladło ze strachu, a lwy się pod ziemię chowały... Pantery przed wami by jagnięta były, hyeny były jako owce ciche...

Więc burza wrzała i w piersi mojej, więc wichr mi las uczuć potrząsał... Pod wiary niebo się niosły czarne fale zwątpienia i wola się trzęsła w posadach...

Niema dla was łaski, niema przebaczenia

Jak opoki twarde, jak ciernie kolące—słowa moje w przyszłości!...

Psalm drugi.

Nie masz rodzenia, nie masz rozwoju, nie masz tworzenia, jeno wieczyste zniszczenie...

Nie masz żalu, nie masz litości—jeno bezbrzeżne cierpienie...

Nie masz prawa, nie masz wolności—jeno siłę i wolę...

Nie masz ciszy, nie masz dźwięku—jeno nastrój swej duszy...

Nie masz prostej, ni krzywej—jeno koło bez granic...

Nie masz prawdy, nie masz kłamstwa—jeno bolesne dążenie.

A co inne — to złuda, co inne to mary, to sen idealny ludzkości!

Psalm trzeci.

Z oskardem w dłoni przez skałę granitu rwał się on naprzód do źródła.

I przesąd się piętrzył przegniły, a góra złych wierzeń w obłoki swe szczyty wznosiła.

Latarką błyski rozlewał wokoło, a oskard głazy usuwał z przed drogi. Wielki swym celem, dumny swą siłą — z łatwością zwalczał przeszkody.

Więc granit był mu jako wosk podatny i oskard był mu, jako brzytew, ostry...

I rył pod ziemią, jakby krety ciemne, i nic nie widział prócz celu przed sobą. A praca szła naprzód, choć oskard się tępił, a skała twardszą i grubszą się stała.

Pot spływał mu z czoła, krew z dłoni mu ciekła, on naprzód kroczył wytrwale.

Bo tam — za tą skałą—nowe wytryśnie mu źrodło, bo tam się odświeży, odpocznie, a przeszkód nie będzie na drodze. Jeszcze mu jeno cios jeden zadać zostało...

Natężył muskuły i w granit uderzył, lecz oskard roprysł się w dłoni...

Kawały utkwiły mu w ciele...

Upadł na ziemię, a w oczach rozpacz mu błysła...

Czy walczyć mu było, by paść i skonać przy końcu? czy życie swe stracić by za nie nic nie pozyskać? czy dać za wygraną granitom kłamstw i przesądów?...

I zerwał się z ziemi, a ciało krwią mu broczyło...

Chwiejny i słaby stał chwilę pod skałą i trwożnie słuchał szemrania...

Czy serce mu biło, czy źródło kroplami po skałach się sączy, kroplami, co kamień dziurawią?

A kropla ze źródła to była.

Więc głowę nadstawił, i ciało rozpędził, i czaszką w granitu bił skałę...

I w tem uderzeniu się czaszka rozprysła i mózgiem skałę zbryzgała...

Padł bez ducha nadczłowiek.

. . . .

A skała pękła i źródło się cicho kroplami do wnętrza dostało.

Psalm czwarty.

Jak orły — nad skałę wyskoczył, wieżycą w niebo wystrzelił; jak Argus stą źrenic na ziemię spogląda, a oko śmiercią mu płonie. Pełen grozy i majestatu, pełen królewskiej powagi, filarem nawyknień podparty, z chmur czapkę na szczyty nałożył i dumnie patrzy w dolinę, co pełna strachu i pokory pełna u stóp się jego przewija...

Purpura mu lica rumieni, stopy w skałę się wpiły, w bok bryłą granitu się podparł.

U dołu mrowisko przeciąga żywota i w górę na szczyty spogląda...

Słońce koroną ze złota o szczyty się jego odbiło, blask upadł na ziemię i radość dolinę— jak wąż błyszczący oplotła...

I jasna, światłem oblana, z zwierciadłem przeszła przed licem ich postać...

I światło promieniało z zwierciadła i czyste padało do serca szczęśliwych...

I tryumf był dokoła, i baranki się pasły po błoniach, a lwy ich strzegły z miłością...

I nie było żalu, i nie było świadomości, i nie było żalu za świadomością.

...O szczyty się słońce odbiło...

. . . .

Aż naszła chmura, niby ołów ciężka i w welon swój czarny szczyty owinęła. — Światło zagasło i zmora ciemności legła na zamku ponuro...

I rozpacz cicha w dolinie...

Bo znikła postać, co zwierciadło niosła, a w którem siebie widzieli.

Więc zadrżeli, niewolnicy, wzrok szklisty w ziemię utkwili, ręce zmęczone spuścili...

I szli, jak automat bezwładni, jako kłody bezmyślni...

Płakali i ręce wyciągali ku szczytom... Lecz ciemność z sykiem słońce zalała i szczytów z poza niej nie widać...

«Więc były szczyty, lecz gdzież się podziały!» wołają z bólem i troską. — I wzrok swój na lewo zwracają i wzrok swój napróżno na prawo ciskają...

Ciemność spłynęła naokół.

Stanęli wybladli, a jeden bladości drugiego nie spostrzegł.

Więc pytali się wzajem, żali nie oślepli?... I jeden drugiego za ręce chwytał, na kolana pa-

dał a modlił, by w drogę prowadził. Jeden drugiego za boga miał swego, z cierpień daninę mu składał...

I wszyscy kurczowo zaciskali pięście i wszystkim się serce krwawiło...

Bo nieszczęście przyszło, bo niemoc ich gięła, gdy szczyty ciemnią się mgliły...

...W welon z chmur czarny szczyty noc owinęła...

. . . .

Z prochu powstał śmiertelny i dumnie spojrzał dokoła. Oblicze zwrócił ku szczytom i wzgardę rzucił struchlałym... Szatą się z «siebie» owinął, kij z wiedzy i siły ustrugał. Młot na plecy narzucił i poszedł prosto przed siebie.

A młot był potężny, iż dłonie go ludzkie dźwignąć z miejsca nie mogły...

Szedł śmiało przed siebie, a ciernie mu włosy szarpały, a stopy mu głazy krwawiły.

Gdzie stąpił na głazy, tam, jako psy wierne, krwawe stóp ślady po opoce biegły... Jak wąż wiła się smuga purpury, a z dołu — wybladli, z przerażenia niemi na bohatera patrzali...

On szedł coraz wyżej i wyżej...

Tylko szata jego błysnęła im w zmroku, tylko krwi ślady świeciły na śliskiej opoce...

. . . . . . A rzeka ciekawości lała się z ócz tłumu, a zieleń nadziei do serc potępionych się

wkradła. I czekali chwili, gdy sił mu zabraknie i spadnie w doliny z roztrzaskaną czaszką...

. . . .

On szedł coraz wyżej.., Zabłysły mu ogniem krwawe zamczyska źrenice, on śmiał się szyderczo i kłaniał się zdala, i piersi im swoje nadstawiał.

Piorunem zamek przemówił do niego, on pieśnią mu tylko zadzwonił:

«Hej, nie macie ani ognia, ni pioruna!
Hej, nie macie ani siły, ni woli!
Zamroczyła noc waszą jasność...
Nic z was, hej, hej!...
Gdzie ma wola — tam ma droga:
Cel na górze — na szczyt wejdę...
Wam niziny straszyć—ja nad wami stanę...
Wy żyjecie w przeszłości — przyszłość przedemną.
Hej, hej!...
Wypłowiały szaty wasze i poblakła twarz;
Na mej łące kwiaty rosną i zwycięstwa moc...
Nie bledną ze strachu mi lica, a płomyk się trwogi w mych oczach czarnych nie zatli...
Hej, młot mi za broń, a siła za przyszłość mą ręczy!
Zwycięztwo nademną swe skrzydło z piór białych roztacza.
I patrzy nieśmiało w twarz władcy, w mą twarz...

Hej, hej, mnie nic z was!
Nic z was!»

. . . .

I dalej idzie przed siebie... Na zamek wspiął się zuchwale, choć z murów zepchnąć go chcieli...

Dumny i pewny — rozmachem przeciwnych usunął i darł się w górę ku szczytom...

Aż stanął w końcu, gdzie cel był jego, dokąd wola go niosła na barkach swoich olbrzyma...

I ręką ujął za sztandar, i pełną piersią odetchnął.

. . . .

Wichr szumiał w uszach, włosy nad czołem rozwiewał i śpiewał dziko — zwycięstwo!

Orzeł nad nim kołował, wichrom wtórował— zwycięstwo!

Sztandar mu nogi owinął, do stóp z pokłonem się ściele...

On spojrzał dumnie ku niebu i z ócz mu piorun wystrzelił...

A błyskawica niebo roztworzyła i palcem ognistym «zwycięstwo!» w przestworzach wyryła...

I rozwarło się niebo i w siną nieskończoność «zwycięstwo! zwycięstwo!» pobiegło...

. . . .

On stał spokojny i okiem buntu w niebiosa spoglądał.

I jęk uderzył go bólu — jęk, co serce rozdzierał.

Niósł się on z dołu i rósł coraz bardziej, aż sobą przestworza napełnił.

I atom drgał każdy od krzyku rozpaczy i zdawał się boleść wraz z nimi podzielać.

Więc spojrzał w niziny, zaczerpnął powietrza i pieśnią potężną wybuchnął:

. . . .

«Niema światła na szczytach, niema dla tłumu, niema dla nikczemnych!...

Niema blasków na górze, niema ich dla słabych...

Wola pcha was na szczyty, siła zasłonę z nich zdziera...

Niema nocy i ciemni nie ma, kto siebie samego posiada!...

Gdzie siła wasza i gdzie wola wasza, wy — pełzający w nizinach?

Gdzie słońce wasze i gdzie jasność wasza, wy — pełzający w nizinach?...

* * *

Nie ku szczytom wam patrzeć, nie ku górze wam głowy harde zadzierać...

Bo tu nic, okrom światła wyjątkom; bo tu nic, okrom nocy dla tłumu...

Każdy świątnicę niechaj stawi *sobie*, każdy niech bóstwo z *swych* cegieł ułoży, każdy niech w szczyty *swoje* jeno patrzy...

Bo gdzie wam Bóg, gdy nie w was, bo gdzie wam wiara, gdy nie w was, bo gdzie wam słońce i ciepło gdzie wam, gdy nie w was się żarzy.

Nie gmach wam jeden, lecz gmachy rozliczne, nie cel wam jeden, lecz cele rozliczne, gdy nie droga jedna i nie moc w was jedna.

* * *

Niema dla mnie tajemnic, bom w księgi bytu się wgłębił, niema dla mnie ciemności, bo na świat ze szczytów spoglądam»...

. . . .

I głos mu potężniał, i drżała ziemia w posadach...

I lęk ogarniał niziny, a jeden drugiego z niedowierzaniem się pytał...

A żaden nie wiedział, gdzie świątnicę stawić i z jakiej budować ją cegły...

. . . .

On stał, potężny, i siłę nabierał w ramiona...

Młot swój ważył na ręku i dumnie na zamek spoglądał.

Aż chmurę, co czoło mu jasne wieńczyła, silną otarł prawicą.

I światło błysło mu z czoła, i z oczu płomień wystrzelił.

Młot w obie ręce pochwycił, rozbujał całem go ciałem, rozpędem dolał mu wagi i w zamek by piorun uderzył...

Zatrzęsły się stare podwaliny gmachu, zatrzeszczał cały w posadach.

On młot wzniósł na nowo i z nową spuścił go siłą...

...I polał się potok piorunów na mury zamczyska prastare. — Aż trzask się rozległ piorunu, huk ziemię z posad poruszył i niebo objął przestrachem...

Aż rozprysł gmach się na ćwierci; w drobne się części rozsypał...

. . . .

I porwał każdy z tych w nizinach cegłę...

Chwytał cegłę, co najbliższą była, i począł świątnicę budować...

I światło mu promieniało nad głową i radość świetlnym mu kręgiem natchnioną głowę oplotła.

. . . .

A pod tem zwaliskiem, z głową strzaskaną, przykryty gruzami zamczyska, legł trup bohatera z uśmiechem na ustach i z młotem w skrwawionej prawicy.

* *
*

Koniec pieśni drugiej.

BÓL.

Tragedya w 4-ch aktach.

PROLOG.

(Rzecz dzieje się w czasach przedhistorycznych).

(Na dzikiej polance, twarzą ku wschodzącemu słońcu zwrócony, stoi **Ardal**; włosy jego jasne bezładnie spadają na nagie ramiona, przepaska przy biodrach poszarpana; na prawo, twarzą ku ziemi, leży **Olan**).

Ardal.

O, złoty bogu, cudny w swej wiecznej jaśności,
Który błyskami swych oczu ziemię oświecasz,
Drzewom i kwiatom, i trawom soki odświeżasz,
Ludziom, zwierzętom i ptakom życie nadajesz,
Na lśniącym wozie—bogu wieczystej światłości!
Dzięki ci, dzięki za to, żeś w sercu zbolałem
Ciepłem łagodnem promieni wskrzesił nadzieję;
Życieś mi oddał, co omal z życiem nie zgasło
Biednej Untali.

Olan *(zrywa się z ziemi).*

Kto tu imieniem Untali
Śmie budzić echa, drzemiące w głębi mej duszy?
Tyś to, Ardalu? Pocoś tu przyszedł? Ha, [chcesz li
Drażnić śpiącego tygrysa? Precz mi stąd, [uchodź!

Ardal.

Bracie Olanie...

Olan.

Co, bracie? Drwisz że ty ze mnie?
Kto może bratem być temu, co nie ma serca?
Bratem nam ten jest, komu daliśmy swą miłość,
Wzamian żądając miłości. Serce zaś moje
Wczoraj do grobu złożono, dać więc miłości
Ja ci nie mogę, i twojej nie chcę też przyjąć.
Precz więc, uciekaj, nie mąć mi krzykiem spo-
[koju!

Ardal.

Bracie, Untala...

Olan.

Znowu? na piekło!...

Ardal.

Untala
Dla mnie zarówno umarła, jak i dla ciebie.

Olan.

Ha, ha! Tak sądzisz? Słuchaj, ty z obcej krainy
Do nas przybyłeś przed laty i swym przyja-
[cielem
Zwałem cię długo, póki Untalę obydwaj
Nie pokochaliśmy. Wtedy znienawidziłem
Ciebie, rywala, i byłbyś prędzej, czy później,
Śmiercią przypłacił, przybłędo, swoją zuchwa-
[łość,
Ale nikczemni bogowie wcześniej zesłali
Śmierć nienawistną, by zabrać moją Untalę;

Widać, że zazdrość piekielna tak ich paliła...
Hańba im, podłym! Niechaj się w własnym
[upieką
Ogniu!...

Ardal.

Milcz nierozsądny! Na kogo powstajesz?
Widzisz, jak słońce się ciemną chmurą zakryło?
Zadrżyj, bluźnierco, bo kara bliska cię czeka.

Olan.

Mnież grozisz karą? Jaką? Czy śmiercią? Toż
[gdybym
Wiedział, że piorun we mnie uderzy, zdwoiłbym
Tylko przekleństwa, miotane na nieśmiertelnych.
Ha! Gdyby siły ludzkie wzrastały za każdym
Ciosem boleści i cierpień, jużbym ja dawno
W proch skruszył nieba potęgę, i sam bym został
Jak bóg, nieśmiertelnym!...

Ardal.

Bracie, mówisz, żeś cierpiał...
To więc cię taką wielką goryczą natchnęło?...
Ha, wiesz, że moje też życie jednem się pasmem
Ciągłych katuszy duszy i ciała ciągnęło.
W czasie, gdym do was dzieckiem przybłąkał
[się małem,
Już moje oczy zblakły od łez nieustannych.
Ojca i matki nie znałem: jedno za drugiem
Mnie odumarli, nimem wymówić mógł słowa:
«Ojcze» i «matko,» braci ni sióstr zaś nie miałem.
Sierotą tułałem się od kąta do kąta,

Żebrząc nie tyle chleba, jak ciepła miłości;
Ach, jakże sercu trza dziecinnemu współczucia!
Głodum nie zaznał: w błogosławionej krainie
Naszej, mlekiem i miodem płynącej, dosyć jest
Rękę wyciągnąć, by módz swój głód zaspokoić.
Zato, o nieba, wyście mi świadkiem, jak często
Dziecko przy matce swej widząc, kiedym pod-
[chodził,
Żądny pieszczoty, jak deszczu ziemia spra-
[gniona,
A miast łagodnego słowa miłości — «precz stąd,
Przybłędo!» usłyszał — łzami krwawemi jakże
Swoje sieroctwo nieszczęsne jam opłakiwał!
Jakżem się skarżył kwiatom i słońcu na los swój,
Straszny los dziecka bez matki, pieszczot
[i domu...
Z chaty do chaty, nareszcie do was przybyłem.
Tum znalazł spokój: wyście-to mnie przygarnęli,
I twoja to matka pierwszą była istotą,
Która sierotę — przybłędę — pocałowała...
Olanie! Tyś także przecie kochał swą matkę,
Lecz ja—o, jam ją ubóstwiał i czcił jak słońce!..
Tyś odczuł śmierć jej — tyś bolał, cierpiał okru-
[tnie,
Lecz twoja boleść przy mojej—li smutkiem była.
Tyś płakał łzami — jam krew oczyma wylewał,
Tyś wzdychał z bólem — a ja oddychać nie mo-
[głem,
Tyś darł swe piersi—mnie pierś się sama rozdarła,
Rany twe już zabliźnione — moje są wieczne!..

Olan *(zakrywa oczy ręką).*

Przestań, Ardalu! Oszczędź mi strasznych tych
[wspomnień.
Nie, tyś nie cierpiał! Ty nie widziałeś, jak ojciec
Mój uwielbiany walczył z chorobą, co członki
Jego targała! O, ojcze, chwało narodu!!
Gdybyś ty widział oblicze, kurczem ściągnięte,
Oczy, te oczy, co dawniej gromy rzucały,
Krwawą oponą zakryte, usta spienione...
Ha... możebyś wtedy przeklął życie wraz ze mną,
Możebyś bogów...

Ardal.

Znów lekkomyślnie obarczasz
Bogów tą winą; pomnij, że oni...

Olan.

Zamilknij,
Tchórzu nikczemny, przepadnij wraz z nimi!

Ardal.

Tchórzem
Mnie zowiesz? Słuchajże końca smutnej po-
[wieści.
Tchórzem nie jestem; wszak sam byłeś świad-
[kiem, jak lwu
Zgłodniałemu z pazurów wydarłem Untalę.
Tyś także wtedy biegł jej z rozpaczą na pomoc.
A kiedy lew rozciągnięty zbryzgał posoką
Ziemię, a dziewczę uratowane ze łzami
Nam dziękowało -- wtedy spojrzeliśmy sobie

W oczy... A, bracie Olanie! Co ja poczułem
W tej strasznej chwili — tego zrozumieć nie
[w stanie
Umysł człowieczy: ty, mój jedyny przyjaciel,
Brat mój najdroższy, druh szczery — moim ry-
[walem!..
Boleść, i wściekłość, i zemsta skrzyły w twem
[oku,
Boleść, i rozpacz, i szał w mych piersiach za-
[drgały.
Oszołomiony, pijany, z błędną powieką,
Dusząc się krzykiem nieludzkim, od was ucie-
[kłem...
I cztery razy słońce wschodzące widziało
Mnie leżącego na ziemi, z okiem zamkniętem,
Piersią dyszącą ciężko, chrapliwie i krótko...
Wreszcie zły duch mnie ogarnął: postanowiłem
Posiąść Untalę, choćby mi przyszło pół ziemi
We krwi zatopić, was wszystkich w rękach roz-
[szarpać!
Zrywam się, żądzą rozpusty, mordu ziejący;
Biegnę, jak wściekły; usta spieczone zaciskam;
Dzikie obrazy snują się w moim umyśle:
O trup Olana wilki się gryzą; Untalę
Chwytam w objęcia i cisnę do drżącej piersi,
Biegnę; widzę, jak podła hyena zębami
Z zgrzytem się wpija w to trupie gardło —
[i wyje;
Biegnę; krew mi się pali; Untala jest moją;
Czuję jej piersi ciężko dyszące przy swoich;

Biegnę; wiatr koło uszu mi świszczy ponuro;
Nagle ujrzałem przed sobą chłopca małego;
Stoi pod drzewem i płacze; patrzę — Untali
Brat to; za ramię chwytam go dziko i krzyczę:
«Czego ty płaczesz?» — «Untala spadła ze
[skały...»
Wrzasłem; z przestrachem chłopiec ucieka; uj-
[rzałem
Chmurę przed sobą; w krąg zatoczyłem się; pa-
[dłem..
(Chwyta się za piersi).
A boli!...

Olan *(Po długiem milczeniu zbliża się do niego gwałtownie).*

Ardalu! Tyś cierpiał, jak ja prawie,
To znaczy, żeś cierpiał okrutnie. Posłuchaj że:
Razem z Untalą straciłem wszystko, co czyni
Człowieka szczęśliwym: miłość, wiarę i spokój.
Ból mi wypalił serce — ja nie mam już serca.
Ale w tem miejscu, skąd dawniej tkliwe uczucia
Ciepło radosne rozprzestrzeniały po ciele
I promieniały siłą nazewnątrz — w tem miej-
[scu —
Tu — zagnieździła się żmija, o, — zimna żmija,
Co lodem ścina mi żyły i krwawem żądłem
Światu chce grozić i zemstę straszną ogłasza.
(Dziko).
Ardalu! Za moje cierpienia, za łzy moje,
Za te katusze dzikie — ja muszę się zemścić,
O, ja się zemszczę!!...

Ardal.

I na kim wywrzeć chcesz zemstę,
Kto tu nieszczęściu twojemu winien?

Olan.

Kto winien?
Wszyscy są winni! tyś winien! cały świat winien!
O, zemsty, zemsty!

(Chwyta go za rękę).

Słuchaj, Ardalu, chodź ze mną!
Ze wszystkich ludzi na świecie, ty tylko jeden,
Ty—przeznaczenia takiego możesz być godnym.
Ardalu! zemsta nas czeka! Chodź, zemścimy się!
Łzami i krwią zalejemy tą ziemię, która
Nam pochłonęła Untalę; jękami sierot
I wdów zagłuszymy głos bólu, cierpienia głos,
Dymu kłębami z palących się siedzib blaski
Ściemnimy słońca, co śmie jeszcze być wesołem!
Chodź, i niech zadrży ludzkość! Z imieniem [Untali
Na ustach przebiegać będziem doliny, góry
I lasy, a gdzie to hasło zabrzmi, w ślad za niem,
Jak burza, pogoni ból, spustoszenie i śmierć!..
Ardalu, jeszcze się wahasz? Nie ludźmi będziem,
A bogami zniszczenia; gdzie nogę postawim,
Tam piekło zatknie swój sztandar, krwią obry- [zgany;
Na co wzrok nasz upadnie, to ogień pochłonie;
A mór rozszerzać będziemy tchem naszych [piersi.

Ardalu! Przed nami groza i krzyki trwogi,
Za nami ból i przekleństwa, trupy i zgliszcza,
A w środku, z pochodnią rozpaczy, ha! śmierć
[i my!..

Ardal.

Piekielna poczwaro, zamilknij! I niech ci bóg
Twoich słów nie pamięta. Toż mnie obrazami
Takimi chcesz nęcić? Tak że to rozpacz oczy
Twe zaślepiła? Tak żeś to ty mnie osądził?
O nie, Olanie! I mnie ból serce wypalił;
Ale z tych gorzkich popiołów wyrósł wspaniały,
Przecudną koroną błyszczący, kwiat miłości.
Jam cierpiał, Olanie, więc wiem, co cierpieć
[znaczy,
I nie dodawać, lecz ulżyć ludziom chcę tego
Ciężaru. Dla mnie już życie straciło urok,
Poświęcę je więc dla niesienia pomocy tym,
Co jeszcze mają do życia słodyczy prawa.
Do serca mojego radość nie ma przystępu,
Więc w cudzem choć szczęściu szukać będę po-
[ciechy.
Rodziny własnej nie mam i nigdy nie miałem,
Świat więc cały przybieram za moją rodzinę.
Z świętem, słodkiem imieniem Untali na ustach
Rozsiewać będę dokoła zadowolenie
I spokój. Imię to będzie dla ludzi hasłem
Miłości, spokoju i szczęścia. Na to słońce,
Co przewodnikiem w drodze mi będzie, przy-
[sięgam,
Że nigdy ma ręka żywą krwią się nie splami;

Przysięgam, że zawsze, wszędzie i wszystkich
[kochać
Będę, i życie swoje poświęcę dla szczęścia
Swych braci. Olanie, bracie...

Olan.

Precz, precz odemnie!
Podły tchórzu, nie kalaj mnie swojem dotknięciem.
I pierwszą ofiarą byłbyś ty na ołtarzu
Mej zemsty, lecz teraz śmierć ta zbyt mało by mi
Roskoszy sprawiła. Lecz drżyj! Nasycę oczy
Twoje pożogą i mordem, a twej wściekłości
Bezsilnej katusze zemstą moją niech będą!
Nienawidzę cię, tchórzu, wyrodku, przybłędo!

Ardal.

A ja cię kocham serdecznie, nieszczęsny bracie.

Olan *(uderza się w piersi).*

Żmijo mojego serca! Wysuń jadowite,
Krwawe twe żądło, wyszczerz niosące śmierć zęby!
Biada wam, biada, ludzie! Untala, Untala!...
(wybiega).

Ardal.

Kwiecie mojego serca! Rozpostrzyj listki twej
Złotej, słonecznej korony nad cierpiącymi!
Spokój, szczęście wam, ludzie! Untala, Untala!..
(wybiega za nim).

Chmury pokrywają niebo.

Koniec prologu.

AKT I.

(Otwartą polankę, ocienioną z prawej strony gęstym krzakiem, przerzyna cichy strumyk; złote promienie południowego słońca oświecają leżącą w głębi wioskę; koło chat snują się kobiety).

SCENA I.

Przez polankę przebiega w stronę wioski gromadka chłopców z krzykiem: «Idą idą!» Po chwili polanka zapełnia się tłumem starców i dzieci).

Joranti.

Stać! Tu zaczekamy na mężnych naszych wojowników, a nie wątpię, że wracają zwycięzcami.

Dżiatli.

O, matko! Gdzie mój ojciec przewodzi, tam nie może być innego, jak zwycięstwo!

(Zdala słychać wciąż rosnącą wrzawę, okrzyki i bicie w tykwy).

Jedna z kobiet *(do Bori):*

Czegoś ty taka smutna? Nie cieszysz się, że twój syn wraca?

Bori.

Boję się...

Druga kobieta:

Dziwna rzecz, nie wiem, co to jest; i ja jakoś nie mogę się radować. Coś mi się tak serce ściska...

Bori.

Widziałam tej nocy okropny sen. Zdawało mi się, że widzę mojego jedynego syna; czoło miał przebite włócznią, a z rany ciekła gorąca krew i zalewała całą twarz; oddychał tak ciężko i wołał, aby mu pić dano; pobiegłam do bliskiego strumyka i gdy powracałam z wodą, usłyszałam straszny okrzyk i z przestrachu upuściałm tykwę... A wiecie com usłyszała? *(po cichu, z rozpaczą)* Untala, Untala!...

Kobiety *(z okrzykiem, cofając się).*

Ach, biada wam!..

Bori *(z płaczem).*

I ujrzałam, jak syn mój zatoczył wściekle oczyma i skonał.

Joranti.

Co tam? Co się stało?

Pierwsza kobieta.

Bori widziała we śnie żmiję Untali.

(Kobiety zbliżają się ku sobie gwałtownie, szepcąc):

«Nieszczęście, nieszczęście!»

Starzec.

Sen jest ostrzeżeniem nieba. Strzeż się, Bori!

Bori.

Mój syn, mój syn!..

(Na polankę z lewej strony wchodzi oddział wojowników z Sarenem na czele; za nim wiodą Erula ze związanemi rękoma).

SCENA II.

Saren.

Witajcie nam ojcowie, witajcie niewiasty! Otóż wróciliśmy, a wracamy jako zwycięzcy. Cieszcie się, radujcie! Wrogowie nasi pobici, zgnieceni, uciekali nikczemnie przed nami, jak tchórzliwe szakale przed tygrysem, a dziesiątki ich trupów, zostawiliśmy hyenom na pożarcie!

Bori *(z rozpaczą).*

Mój Rams! Gdzie mój Rams?!..

Młody wojownik.

Twój Rams, Bori, poległ śmiercią walecznych.

Bori.

A... zginął... mój syn... nie żyje...

Saren *(surowo).*

Bori! Powstrzymaj twoje jęki. Nie zatruwaj nam nimi radości. *(Kilka kobiet płacze).* Cieszcie się raczej, że synowie wasi zginęli, jak bohaterzy, walcząc z wrogiem, co chciał nas niewolą zgnębić.

Bori.

Śmierci, śmierci! Tyle było matek, mających po kilku synów, i wrócili zdrowi i cali, a mnieś mojego jedynego zabrała! Śmierci, śmierci! Tylu było starych i schorzałych, a tyś pogardziła nimi i zabrała jego, młodego i silnego! A taki był piękny, a taki dobry, a taki kochany! *(Rwie na sobie odzież, drapie ciało).* Ramsie, mój Ramsie, pocoś ty mnie porzucił, samą zostawił, mnie, twoją matkę!..

Dżiatli.

Biedna Bori, uspokój się...

Starzec.

Kto Żmiję Untali ujrzał, ten nigdy spokoju nie zazna.

Bori.

Ramsie, Ramsie!

Starzec *(występuje na środek).*

Słuchajcie, synowie i wy, córki moje, tych słów proroczych, które mi samo niebo natchnęło.

Saren.

Słuchamy cię, ojcze; przez usta twoje sama mądrość mówi.

Starzec.

Dawno to już, bardzo dawno! Ojcowie ojców naszych nie zajmowali jeszcze tych żyz-

nych obszarów ziemi, na której dziś nasze chaty stoją; dopiero co niezmierzonem morzem spłynęli z wysokich gór, których głowy nikną w pomrokach nieba i szerokimi potokami rozlegli się po nizinach, szerząc wokół postrach i zniszczenie między nikczemnemi stworzeniami, które się tu gnieździły. Nie było jeszcze wtedy tych wojen bratobójczych, jakie teraz zniewalają was własnemi rękoma piersi matki rozdzierać i krwią ojca się napawać: zgodnie i po bratersku walczyli, ujarzmiając wstrętne czarne plemiona. Jeden z tych zwycięskich oddziałów zajął te właśnie okolice; wodzem jego był... lecz przeklęte to imię nie powinno być wymówionem, bo ono nieszczęście przynosi. Szaleniec ten upodobał sobie jedną z czarownic wrażego plemienia, Untalę, i wziął ją do domu swego, i został jej mężem. I zaczęła ona uczyć niewiasty nasze kłaniać się strasznemu wężowi, bogowi swojemu, i zanieczyściły się chaty nasze plugastwem. Aż zebrali się raz starsi naszego plemienia i postanowili oczyścić nasze ogniska, kazali młodzieży wystawić olbrzymi stos z suchego drzewa, schwycili wyrodnego wodza swego z jego żoną i dziećmi, powrzucali na stos i podpalili. Ale wśród płomieni, kiedy czerwone języki zaczęły lizać stopy skazańców, czarownica zwróciła się twarzą ku zachodowi słońca i strasznym głosem zaczęła wołać o pomstę. A kiedy dym zasłonił ją, wybuchnęła przeraźliwym śmie-

chem i zawołała: «Biada wam, biada! Wyście mi moje dzieci na pastwę ognia oddali, tutaj, na ziemi ich przodków! Biada wam! Wielka Żmija pomści ich krew niewinną! Biada wam! Biada waszym dzieciom!» I z tym okropnym krzykiem zapadła się w ognistą paszczę, a dym się nad jej głową potwornymi kłębami w olbrzymią żmiję zwinął i z ponurym sykiem uleciał w niebo. Kobiety wokoło zaczęły płakać, i piersi rozdzierać i wołać, że Wielka Żmija nieszczęście sprowadzi na głowy ich dzieci. Wtedy jeden ze starszych im odrzekł: «Ojcowie nasi modlili się do słońca i do lilii, a zwyciężyli czcicieli Żmii, nie trwóżcie się, niewiasty, i idźcie spokojnie do domów waszych; przy blasku słońca nie wypełznie żmija, a lilia was osłoni swymi listkami od jej jadowitego żądła.» Lecz przekleństwo matki ciąży nad nami. Po wielu latach, gdy raz ciemna chmura zakryła słońce, a strwożone kwiaty stuliły listki—straszna żmija wpełzła w serce nowonarodzonego dziecięcia. Nie nam, dzieci moje, walczyć z Żmiją Untali; to nie człowiek stoi naprzeciw nas, to wcielenie pomsty za przelaną krew niewinną, to przekleństwo matki za śmierć dzieci, to bóstwo złego, karzące dzieci za winy ojców. Nie walczyć nam z niem, a ukorzyć się i błagać o przebaczenie.

Saren.

Jednakże, ojcze, Kwiat Untali walczy...

Starzec.

Kwiat Untali jest takiemże bóstwem. Jest on błogosławieństwem nieba, zlanem na nasz naród; powstał on, aby bronić nas od zupełnej zagłady; lecz nim Żmija sile jego ulegnie, nie jedna matka syna swego zapłacze!

Bori.

Ramsie, mój Ramsie!...

(Kobiety naokół wybuchają płaczem).

Saren.

Więc poradź, ojcze, co czynić.

Starzec.

Krew krwi żąda. Za krew czcicieli Żmii okupem będzie krew sługi słońca. Synowie moi! Niebo użyczyło wam dziś zwycięstwa i oddało wam w ręce Erula, wojownika, imię którego było hasłem piękna i waleczności. Jego to należy poświęcić Żmii dla przebłagania jej i odwrócenia od nas jej zemsty.

(Ponure milczenie, wszyscy patrzą na Erula).

Saren.

Ojcze mój, czy inna ofiara nie zdoła...

Starzec *(surowo).*

Siwe są moje włosy, a lata przygięły mię do ziemi. Synu mój, słuchaj rady starców — krew żąda krwi!

(Za krzakiem na prawo ukazuje sie Olan).

Olan *(do siebie).*

Krew żąda krwi!.. Czy to echo mojego serca? Jakże miło dźwięczą te wyrazy w mojem uchu.

(Niebo zachmurza się).

Starzec.

Erul musi zginąć, a śmierć jego będzie powtórzeniem onej strasznej śmierci. Zginąć musi na stosie.

Olan *(j. w.).*

O, ja wam nie będę przeszkadzał. Więcej mi roskoszy sprawia widok mordujących się wzajemnie ludzi, niż mordowanie uciekających przedemną z trwogą.

Saren.

Ojcze mój, wola twa spełnioną będzie. Niech młodzieńcy przywiążą jeńca do drzewa, niech nazbierają suchych gałęzi i ułożą stos wysoki.

(Niebo gwałtownie zachmurza się).

Dżiatli *(do Sarena).*

Ojcze mój, przebacz nieszczęśliwemu Erulowi — on jeszcze taki młody!..

Saren.

Kobiety nie mieszają się do spraw mężczyzn.

Bori.

I mój syn był taki młody!

(Oddalony grzmot, błyskawice).

Starzec.

Taka sama burza była wtedy. Dzieci moje! Niebo samo wskazuje nam drogę. Pomóżcie zbierać drzewo i oblewajcie je żywicą, gdyż niezadługo niebo otworzy się przed piorunami i ofiara nasza przyjętą zostanie.

(Wszyscy rozchodzą się. Erul pozostaje, przywiązany do drzewa; za krzakiem ukryty Olan).

Scena III.

(Burza coraz się zbliża).

Erul.

O, niebo! Jakże cierpisz ty okrutnie!
Wezbrało strasznym bólem łono twoje,
Bo wciąż narzekasz, bo wciąż jęczysz smutnie,
Bo czarny całun zakrył cudne stroje,
Co wprzód lazurem lśniły ponad nami,
Bo drżysz w posadach swych pod piorunami...
O, niebo! Więcej cierpię ja od ciebie...
I chmura ta, co twe oblicze plami,
I wicher ten, co piersi ci rozdziera,
I rwie cię wściekłym zębem, jak pantera,
I piorun ten, co pali cię oddechem,
I wciąż jasnemi skrzy błyskawicami,
To wszystko wobec mego bólu—śmiechem!
Nie dręczy ciebie boleść ta piekąca,
Ta straszna myśl o straconej wolności,

Co lśniła mi nad głową blaskiem słońca,
A teraz lśni białością trupich kości...
A jam utracił ją, koronę życia,
I śmierć mam znaleźć tu, na obcej glebie,
Śród radosnego psów nikczemnych wycia...
O, niebo! więcej cierpię ja od ciebie!

Olan (*j. w.*).

Ha, ha, ha!!

Erul.

Wszyscy cierpią na naszym padole,
Niebo żąda od nas bólu w dani.
Nieszczęśliwe na świecie są dole,
Bohaterzy są wielcy, nieznani.
Są okropne cielesne cierpienia,
Kiedy człowiek tak z bólu szaleje,
Że by w piekło chciał uciec ze świata.

Olan (*j. w.*).

Ojcze, mój ojcze!..

Erul.

Lecz czas bóle te w spokój przemienia,
W spokój wieczny, gdy ciało tężeje,
A duch wolny do nieba ulata!
Niewymownie ci cierpieć też mogą,
W których serca uczucie jest chore,
Ci istotę stracili im drogą,
A wraz z nią i swej duszy podporę.

Olan (*wije się po ziemi*).

Untala! Untala!

Erul.

Lecz dłoń czasu i tym ból łagodzi,
Promień słońca wraz chmurę rozproszy,
Boleść staje się smutku li cieniem;
Przy kochankach pocieszą się młodzi,
A gdy niema już dla nich roskoszy,
Jeszcze śmierć im też będzie zbawieniem.

Olan (*j. w.*).

Aaa!... Kłamstwo!.. Untala!..

Erul.

Lecz jest jedno nieszczęście na ziemi,
Kiedy niemoc wściekłością się znaczy,
Kiedy łzami się płacze krwawemi,
Kiedy mowa jest rykiem rozpaczy,
Kiedy śmiech jest piekielnym oddźwiękiem,
Kiedy oddech zdławionem charczeniem,
Kiedy śmierć niebios wzgardy jest znakiem,
Kiedy grozą przejmuje i lękiem,
Kiedy hańbą jest, miasto zbawieniem,
To—żyć orłem, a umrzeć robakiem!!...

Olan (*z dziką radością*).

A więc giń na stosie!

(*Burza, pioruny, błyskawicie, mężczyźni i kobiety wznoszą stos pośrodku polanki*).

Scena IV.

Starzec.

Godzina ofiary nadeszła.

Z głębi, od strony wioski przebiega Bori z żarzącą się głownią w ręku. Mężczyźni prowadzą Erula na stos, przywiązują go do sterczącego pośrodku pala i schodzą).

Bori.

On mój! Do mnie należy! Idź, niewolniku, służyć mojemu Ramsowi na tamtym świecie! (*Skacze dokoła stosu i wywija głownią*). Ramsie, Ramsie! synu mój jedyny! Przyjm ten dar ostatni od matki twojej. Niech ci ten niewolnik służy tak, jak ja ci służyłam! Ramsie!.. (*rzuca głownię na stos, ogień bucha, lud wznosi ręce do góry i wydaje przeciągły okrzyk*).

Olan (*wybucha śmiechem*).

Scena V.

(*Z przeciwnej strony ukazuje się Ardal*).

Ardal.

Untala, Untala! (*Dziki popłoch*) Pokój wam, ludzie! Untala!

(*Stos gaśnie, chmury się rozchodzą, słońce świeci, z ziemi wyrasta lilia*).

Lud.

Kwiat Untali! Błogosławieństwo nieba z nami!..

(*Wszyscy padają twarzą ku ziemi*).

Ardal.

Spokój i szczęście, wolność i szczęście! Spokój wam, bracia!

(*Więzy spadają z Erula, który pochyla się, klęka i ręce nad głową składa*).

Olan (*wciąż ukryty*).

Piekło... krwi... zemsty... żmijo, jadu mi użycz, przekleństwo wam... (*cofa się i znika; po chwili zdala słychać wściekły okrzyk:* «Biada wam, ludzie! Untala!» *Niebo krwawi się łuną pożaru, lud z przerażeniem kupi się do Ardala*).

Ardal (*wznosi ręce ku niebu*).

Słońce, rozprosz nieszczęście promieńmi swymi! Lilio, ochłodź listkami twymi serca cierpiących! Spokój wam, bracia! Untala, Untala! (*Biegnie w stronę łuny, która po chwili gaśnie*).

Scena VI.

Starzec (*podchodzi do Erula*)

Erulu! przebacz nam tą straszną zbrodnię, której omal ofiarą się nie stałeś!

Saren.

Erulu! zwycięzca prosi zwyciężonego o pokój! (*Wyciąga ku niemu rękę, Erul ściska ją i podchodzi do Bori*).

Erul.

Matko! Syn twój poległ z mojej ręki, przebacz mi i przyjm mnie za syna — ja nie mam matki.

Bori (*obejmuje z płaczem jego głowę*).

Odnajdziesz ją we mnie!...

Starzec.

Błogosławieństwo boże spoczęło na nas! Kwiat Untali ocienił nas listkami swymi. Synowie moi, niech łaska jego będzie z wami, a przekleństwo zaciąży nad głową tego, który święty pokój przełamać zechce!

(*Wszyscy pochylają głowy, później wznoszą oczy w niebo i wołają:* «Słońce, słońce! Bądź z nami!»).

Koniec aktu pierwszego.